

TA MIŁOŚĆ JEST ZAKAZANA.
MOŻE ZNISZCZYĆ CAŁY ICH ŚWIAT.



*Kiedy wstanie
świt*

MAGDALENA SZPONAR



Copyright © 2024
Magdalena Szponar
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Edyta Giersz

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-213-2

MAGDALENA SZPONAR

**KIEDY
WSTANIE
ŚWIT**

OŚWIĘCIM 2024

*Ani i Dawidowi,
pamiętajcie:
Save a horse, ride a cowboy,
a także Marcie,
gdyby nie Twoje „aniemówiłam”, nie byłoby tej historii
M.*



Prolog

Caleb

Kiedy tylko otworzyłem drzwi baru, przywitały mnie odgłosy rozmów, śmiechów i grającej w tle kapeli. Była sobota, a to oznaczało, że na scenie znów pojawił się któryś z okolicznych zespołów grających stare, dobre country.

Niewielka powierzchnia Texasu – ta, wiem, oryginalna nazwa – pękała w szwach. Nie miałem nawet pewności, czy dopdam się do baru. Domyśliłem się od razu, że na scenie musi występować Kiddy – lokalna wokalistka, która zawsze przyciągała rzesze wiernych fanów. Albo robił to jej wylewający się z dekoltu biust, kto wie.

– Ward! – usłyszałem nagle głos mojego przyjaciela, a zarazem sąsiada, Samuela.

Zauważyłem go tuż obok baru i o ile wzrok mnie nie mylił, Sam zdążył się nieźle wstawić. Westchnąłem i zacząłem przeciśkać się przez tłum.

– Chodź, stary! Mamy co świętować! – krzyknął chyba na cały lokal, kiedy już znalazłem się tuż obok niego.

Kiwnąłem na barmankę, która przywitała mnie uśmiechem, jednak za cholerę nie pamiętałem jej imienia. Po chwili podała mi whiskey, i to akurat tę, którą lubiłem najbardziej, więc z pewnością ona poznała mnie już całkiem dobrze. Nie dziwiłem się, przychodziłem tutaj chyba co tydzień.

– Opowiadaj – rzuciłem do Sama i zauważyłem, że szczerzy się jak kretyn, choć nikt z towarzyszących mu facetów nie miał zielonego pojęcia dlaczego.

Kiwnięciem przywitałem się ze wszystkimi na raz. Sąsiedzi, znajomi, koledzy, kilku synów farmerów i on – pijany Samuel McCarthy w środku tego dziwaczного wianuszka.

– Kolejka dla wszystkich! – ryknął mój przyjaciel i przynajmniej zrozumiałem, dlaczego dzisiejszego wieczoru ma wokół siebie aż tak liczne towarzystwo.

– Co się dzieje, stary? – zapytałem i wychyliłem drinka jednym łykiem.

– Luna wraca, Caleb – powiedział już ciszej, złapawszy mnie za ramię.

Jego oczy szklily się już chyba nie tylko z powodu przelanego alkoholu. Dostrzegałem w nich też coś innego. Jakby... wzruszenie?

– To świetnie – rzuciłem, wysilając się na uśmiech.

Nie chciałem mu przypominać, że Luna – jego córeczka – od trzech lat obiecywała, że wróci na wakacje, a tego nie robiła. Nie miałem jednak serca odbierać mu tej nadziei.

– I żeby żaden z was, podstępne gnojki, nie zbliżył się do niej nawet na krok! – ryknął znów na cały lokal.

Odpowiedziało mu kilka niezręcznych uśmiechów, parę żartów i ogólne zniecierpliwienie spowodowane tym, że darmowe – i obiecane – drinki jeszcze się nie pojawiły.

– To świetnie, Sam – powtórzyłem, klepiąc przyjaciela po karku.



1

Caleb

– Szefie! Obudź się!

Usłyszałem czyjś krzyk, dochodzący jakby z daleka, wraz z odgłosem natarczywego uderzania w drzwi. Najpierw poczułem niepokój, potem moje serce zabiło gwałtownie i otworzyłem oczy, obudziwszy się ze snu.

– Szefie!

Wciągnąłem spodnie na goły tyłek, klnąc pod nosem. Tego, że coś się stało, byłem już pewien. Pytanie tylko, czy zdążę to naprawić.

Zbiegałem ze schodów i jednocześnie wciągałem na siebie koszulkę; to, że po prostu nie zleciałem i nie połamałem sobie nóg, naprawdę zakrawało na cud. Cały dom był pograżony w ciemności rozświetlanej jedynie słabym światłem księżyca,

wpadającym przez liczne okna – nigdy ich nie zasłaniałem, nie nawidziłem odcinać się od świata, który o każdej porze dnia i nocy wydawał się piękny.

Gdy tylko otworzyłem drzwi, przez próg do sieni wpadł Tom, który właśnie chciał dobijać się do mnie ponownie.

– Nareszcie – jęknął, dysząc jak po maratonie, i zaraz dodał: – Shadow...

Po raz kolejny poczułem ukłucie niepokoju w sercu, tym razem było silniejsze i spotęgowane dreszczem strachu przebiegającym mi po plecach.

– Dzwoniłeś do Morgan? – zapytałem, wzuwając buty na gołe stopy. Zdziwiłem się, że mój głos zabrzmiał tak spokojnie.

– Nie odbiera – usłyszałem za plecami.

Zakląłem pod nosem i popędziłem w stronę stajni, nie czekając na Toma. Nie miałem na to czasu, ale dobrze wiedziałem, że jest tuż za mną. W końcu był moim najlepszym pracownikiem. I dobrym, choć o wiele młodszym, kumplem.

Nie zdążyłem jeszcze wpaść do budynku, a już słyszałem jej jęk. Shadow charczała z cierpienia. Do jej boksu dobiegłem w sekundę, w następnej już klęczałem obok głowy mojej klaczy i gładziłem jej siwą grzywę.

– Już dobrze, maleńka – szepnąłem. – Jestem tu.

Spojrzała na mnie czarnymi oczami, w których wyraźnie widziałem strach. Cholera, ktokolwiek twierdził, że zwierzęta nie mają uczuć, był skończonym debilem.

– Myślałem, że dotrwa – usłyszałem nad sobą Toma i spojrzałem w jego zaniepokojoną twarz.

Shadow zostały jeszcze dobre trzy tygodnie do porodu. To działo się zdecydowanie zbyt szybko, ale wiedzieliśmy, że tak właśnie może się stać. To jej pierwszy żrebak. I od kilku dni wszystko wskazywało na taki rozwój wydarzeń.

– Leć po Samuela. Będziemy potrzebowali pomocy – powiedziałem i po chwili usłyszałem odgłos oddalających się kroków Toma.

Skoro Morgan się nie odezwała, nie miałem innego wyjścia. Zdawałem sobie sprawę z tego, że wczoraj wieczorem wróciła córka mojego sąsiada, i nie chciałem im przeszkadzać, ale Sam odebrał w swoim życiu jeszcze więcej porodów niż ja, więc jego doświadczenie było bezcenne. Poza tym to mój najlepszy przyjaciel. Mogłem na niego liczyć w każdej chwili.

Zbadałem klacz, która oddychała ciężko i nierówno. Wpatrywała się we mnie wystraszona, ale w tym spojrzeniu widziałem też zaufanie.

– Spokojnie, maleńka. Pomożemy ci – szeptałem, gładząc ją po grzywie.

Po kilkunastu minutach we wrotach stajni zobaczyłem Toma, a tuż za nim szedł Samuel. Jeszcze zapinał guziki czerwonej koszuli i w pośpiechu nie zauważył nawet, że robił to krzywo. Choć był zaspany, wiedziałem, że przestraszył się równie mocno co ja.

– Ćśś – uspokoiłem klacz, która nagle próbowała się zerwać na nogi. Skupiłem na niej całą uwagę, a już po chwili znów leżała spokojnie i wpatrywała się w wejście do boksu.

– Jak długo to trwa? – zapytał Sam, klękając obok mnie.

– Usłyszałem ją jakieś pół godziny temu – odpowiedział Tom i zerknęliśmy po sobie zaniepokojeni. Poród klaczy zazwyczaj trwał około piętnastu minut, a tutaj nawet jeszcze się nie zaczęło.

– Shadow? – Usłyszałem nagle niski, zachrypnięty i... kobiecy głos.

Co, do cholery?!

Odwrociłem się, ledwie zachowując równowagę, i zobaczyłem piękną kobietę. Właśnie wciągała przez głowę bluzę z kapturem i na chwilę straciłem z oczu jej cudowną twarz. Poraziła mnie jej uroda. W następnej sekundzie wyciągnęła swoje długie brązowe włosy i związała je na czubku głowy. Spojrzałem w jej oczy, miałem wrażenie, że już gdzieś ją widziałem, ale nie mogłem... Nie, cholera... To była córka Sama?!

– Luna? – warknąłem ostrzej, niż zamierzałem, czując nagłą złość, że nastolatka, którą pamiętałem, nastolatka z krótkimi włosami, piegami i przeraźliwie bladą skórą, przestoczyła się w taką piękność.

– Dobry wieczór, Caleb – zwróciła się do mnie i zauważyłem, jak się czerwieni.

Kurwa.

– Luna, pomóż nam – rzucił jej ojciec i dopiero wówczas przypomniałem sobie, że dziewczyna właśnie skończyła pierwszy rok weterynarii.

Nie dalej, jak tydzień temu, Sam wspominał o jej powrocie. Nie chciałem wierzyć, bo przecież to nie pierwszy raz, gdy miała przyjechać na wakacje, a wcale tego nie zrobiła. A jednak tutaj stała. A w zasadzie... podeszła bliżej i zaczęła badać klacz. To przez nią Shadow zareagowała tak nerwowo. Najwidoczniej ją pamiętała, w końcu Luna była przy jej porodzie. Trzy lata temu zajmowała się źrebakiem; tuż przed swoim wyjazdem. Nigdy nie wchodziłem w szczegóły, nie interesowałem się tym, dlaczego zmieniła liceum, by dwie ostatnie klasy ukończyć w szkole oddalonej o kilkaset mil. Kiedy wyjeżdżała, a wyglądała wówczas jak pyzata nastolatka, najdłużej żegnała się właśnie z Shadow.

– To za wcześnie, prawda? – zapytała, wyrrywając mnie z zamyslenia.

– O trzy tygodnie – odparłem i nasze spojrzenia się spotkały. Coś dziwnego stało się wtedy z moim sercem. Przełknąłem ślinę, usilnie starając się nie myśleć o tym, że ten niedorostek wyrósł na tak piękną, młodą kobietę.

Chryste, człowieku, opanuj się!, zbeształem samego siebie. Ona mogłaby być twoją córką! A w dodatku jest córką twojego przyjaciela.

– Pewnie będziemy musieli przerwać owodnię.

Dopiero teraz zauważyłem, że Luna przytachała ze sobą wielką torbę.

Tak, kretynie, za bardzo skupiałeś się na jej opalonych nogach.

Przetarłem twarz, próbując się otrząsnąć na tyle, by pomóc im w czymkolwiek, a nie tylko zawadzać. Gapienie się na córkę swojego przyjaciela na pewno niczego nie wносиło. W dodatku mogłem za chwilę zarobić w pysk, bo Sam już dziwnie na mnie patrzył.

– Żrebak jest dobrze ułożony – rzuciła Luna, sprowadzając mnie na ziemię. – Widać już błonę – dodała. – Dobra, panowie – uśmiechnęła się szeroko – zaczyna się!

Choć nie był to pierwszy żrebak, którego sprowadziłem na ten świat, zafascynowany obserwowałem pojawianie się malucha. Gładziłem Shadow, a ta nie spuszczała ze mnie spojrzenia. Zazwyczaj klacze radziły sobie same, jednak tym razem wiedziałem, że bez asysty się nie obędzie. Jednak był tutaj Sam. Była też i Luna. Choć dopiero co skończyła pierwszy rok weterynarii, to przecież całe życie spędziła na farmie, więc we trójkę powinniśmy sobie poradzić.

– Pomóżcie mi. – W głosie dziewczyny wyczułem lekką nerwowość.

Rzuciłem się do niej, chcąc wyprzedzić Toma i Sama, a ten pierwszy aż prychnął z niedowierzania, co wyraźnie usłyszałem. Zanotowałem sobie w głowie, żeby przeprowadzić z nim później poważną rozmowę. Musiałem mu wytłumaczyć, żeby trzymał się od Luny z daleka. *Ta, bo niby miałem na to jakikolwiek wpływ...*

Sam albo nie zwrócił na nic uwagi, albo po prostu to zignorował. Ostatecznie obaj pojawiliśmy się obok Luny i robiliśmy to, co kazała, jakby zupełnie naturalnie przejęła dowództwo nad wszystkimi obecnymi.

Widziałem, jak wyciąga z torby skalpel i go dezynfekuje. W następnej chwili przebiła worek owodniowy. Później z fascynacją obserwowałem, jak rodzi się nowe życie. Kiedy Shadow parła, dziewczyna delikatnie jej pomagała, pociągając malucha.

Trwało to może kwadrans, a odniosłem wrażenie, że minęła dosłownie sekunda.

– Coś jest nie tak – usłyszałem szept Luny, którym wyraziła to, co sam czułem.

Żrebak nie oddychał.

Później ta mała zrobiła coś, co miałem okazję widzieć tylko raz w życiu. Wyjęła z torby ssak i odessała nadmiar płynu, a gdy to nic nie dało, dmuchnęła powietrzem wprost w nozdrza żrebaka.

Z ust nas wszystkich wydarł się jęk ulgi, kiedy zobaczyliśmy, że maluch zaczął oddychać. Był jednak bardzo słaby. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, by móc ocenić, jak niewielkie miał szanse, żeby w ogóle przeżyć.

Wspólnie przysunęliśmy go bliżej Shadow. Klacz była osłabiona, ale zaczęła wylizywać malucha. Odetchnąłem z ulgą. Przynajmniej go nie odrzuciła.

– Pępowinę zostawiamy nietkniętą – dodała Luna, kiedy obserwowałem mamę i synka. – Krew Shadow dobrze wzmocni naszego malca. Potem powinna sama się przerwać, jeśli tak się nie stanie, pomogę. Trzeba też obserwować żrebaka.

– Wiem – powiedziałem może znów trochę zbyt ostro, ale przecież naprawdę wiedziałem, co robić. Poza tym ona była dopiero po pierwszym roku, a już zachowywała się, jakby pozjadała wszystkie rozумы. Kątem oka zobaczyłem, że córka mojego przyjaciela (tak, miałem zamiar powtarzać to sobie na każdym kroku!) skrzywiła się nieznacznie, ale pozostawiła to bez komentarza.

– Jak go nazwiesz? – zapytał mnie Tom i dopiero wtedy przypomniałem sobie o jego i Sama obecności.

Stali przy wejściu do boksu i obserwowali nas uważnie. Jeśli miałbym być szczery, Samuel patrzył na mnie z chęcią mordy w oczach. Na wszelki wypadek odsunąłem się od Luny, która klęczała przy żrebaku, żeby go dokładniej obejrzeć.

Większy problem w tym, by przestać na nią patrzeć, do diabła.

– Warrior – odpowiedziała zamiast mnie, nie pytając nawet o pozwolenie.

– Warrior – powtórzyłem, zgadzając się bez zawahania.

Wówczas zerknęła za siebie i nasze oczy się spotkały. Jej – zielone niczym trawa na pastwisku o poranku. I moje – kobaltowe jak niebo nocą.

Od tej chwili wiedziałem, że to nie może się dobrze skończyć.



2

Luna

– Co to miało, do cholery, być? – warknął na mnie tata, kiedy wyszliśmy ze stajni.

Zrobił to na szczęście na tyle cicho, bym nie musiała się wstydzic. Znowu. Chryste, nagle przypomniałam sobie, dlaczego w ogóle wyjechałam do Amarillo. Czteryście pięćdziesiąt mil od Horseshoe Bay i nadal było warto odbyć tę podróż trzy lat temu.

– Tato, musisz być bardziej konkretny – rzuciłam, bardzo starając się nie przejmować faktem, że ledwie wróciłam, a już nie potrafiliśmy porozmawiać ze sobą bez pretensji, żalów czy złości.

– Widziałem, jak patrzysz na Caleba – usłyszałam i dziękowałam Bogu za to, że wyprzedzałam ojca o kilka kroków, więc nie musiałam oglądać jego wiecznie niezadowolonej miny.

– Niby jak? – kontynuowałam tę bezsensowną wymianę zdań.

I po co? Mogłam odpuścić... Zawsze jednak pchałam się w sytuacje, w których mogłabym się posprzeczać. Podobno wybuchowy charakter odziedziczyłam po mamie. Wraz z hiszpańską urodą. Tak bardzo żałowałam, że tak szybko ją straciłam.

– Masz się trzymać od niego z daleka, słyszysz?! – Teraz już podniósł głos, więc uznałam, że dalsza rozmowa naprawdę nie ma sensu.

Westchnęłam tylko, mruknęłam pod nosem: „oczywiście, tato” i już zniknęłam w sieni naszego domu, od razu kierując się na schody. Za chwilę miało świtać i nie chciałam już się kłaść. Zrobiłam za to coś, za czym tęskniłam najbardziej. Wymknęłam się przez okno dachowe w moim pokoju i zeszałam po ciemnoczerwonych dachówkach. Po tej stronie dach opadał pod mniejszym kątem. Gdy znalazłam się nad werandą na tyłach, do ziemi miałam niewiele ponad sześć i pół stopy. Zerknęłam w dół i westchnęłam z ulgą na widok starej drabiny stojącej tutaj od lat. Nic się nie zmieniło. Zeszałam po niej i uśmiechnęłam się do wschodzącego słońca, które na horyzoncie witało świat pierwszymi promieniami.

Gdy byłam dzieciakiem, brałam rower i pędziłam nad jezioro, by tam chłonąć niesamowitą ciszę obrzeży miasteczka. Uwielbiałam te chwile, bo podczas nich odzyskiwałam upragniony spokój. Mieszkanie z tatą było... no cóż, trudne. I wtedy marzyłam tylko o tym, by się stąd wyrwać.

Teraz nie liczyłam na to, że w stodole znajdę jeszcze swój stary rower. A nawet jeśli, wątpiłam, by nadawał się do użytku. Zawałałam się jedynie przez moment. Słońce wszędzie już niebawem, a ja naprawdę nie chciałam stracić tego widoku. Pobiegłam więc do stajni ojca i szybko osiodłałam najspokojniejszą klacz. A przynajmniej taka była, kiedy stąd wyjeżdżałam. Teraz w dodatku zbliżała się już do sędziwego wieku, więc mogłam mieć nadzieję, że okaże się cierpliwa, kiedy ja zacznę sobie przypominać, jak

to się robiło. W Amarillo nie miałam zbyt wielu okazji, by jeździć konno, ale podobno to jak jazda na rowerze; po prostu się tego nie zapomina.

I miałam rację. Chwilę później zaczęłam od delikatnego stępa, a kiedy okazało się, że wcale nie zleciałam na tyłek, pozwoliłam Missy rozpędzić się do kłusu. Uwielbiałam to zwierzę i na myśl, że kiedyś w końcu przyjdzie mi się z nim pożegnać, chciało mi się płakać. Straciłam trzy lata. Trzy lata w oddaleniu od koni, które kochałam, i człowieka, którego nie mogłam znieść.

Pędziłam w kierunku jeziora, a moje myśli powędrowały do kolejnej klaczy. Shadow. Widziałam jej narodziny i opiekowałam się nią aż do chwili, kiedy wyjechałam do Amarillo. Była piękna. A teraz sprowadziła na świat malucha. Żrebak od razu zdobył moje serce. Ciekawe, czy Caleb się zgodzi, abym zajęła się Warriorem.

Właśnie. Caleb Ward.

Przez te wszystkie lata moje myśli nie wróciły do niego ani razu. Bo i po co miały wracać? Był tylko przyjacielem taty i sąsiadem, który często zapraszał nas na niedzielne obiady. Przynajmniej w czasach, kiedy żyła jego matka, a zmarła... jakieś dwa lata przed moim wyjazdem. Wiedziałam, że z ojcem spotykali się bardzo często, a ich przyjaźń zaczęła się już w podstawówce. Nigdy jednak nie spjrzałam na niego tak jak dzisiaj.

Cholera.

Tylko kretyńka nie przyznałaby, że to przystojniak. Upływające lata najwyraźniej mu służyły, a praca na ranchu sprawiła, że siłą z pewnością mógłby dorównać niejednemu młodzikowi. Dlaczego wcześniej nie zauważyłam, że mój sąsiad to takie ciacho?

Być może dlatego, że ten sam facet bujał cię w huśtawce na tyłach ogrodu, gdy miałaś pięć lat, idiotko?

No tak, nie ma to jak stawianie samej siebie do pionu.

Coś w tym było. Caleb od zawsze odgrywał w moim życiu rolę kogoś w rodzaju wujka. Nawet do pewnego momentu właśnie tak się do niego zwracałam. Przestałam chyba w dniu piętnastych urodzin i, na Boga, rok później już mnie tu nie było.

Że też musiał przyjść do stajni w samych spodniach i podkoszulku... W sumie to jego wina. Przez dobrą chwilę nie potrafiłam oderwać spojrzenia od opalonych ramion, szerokich barków i masywnej klatki piersiowej, której nie ukrywał nawet szary (i bardzo przylegający, dodajmy) materiał. W ułamku sekundy pożałowałam, że wciągnęłam na siebie bluzę z logo mojego uniwersytetu Texas Tech¹. Sierpniowe noce i poranki nadal były gorące, jednak wiedziałam, że zbudzona ze snu mogę zacząć się trząść. Uwielbiałam ciepło. A kiedy zobaczyłam, jak Caleb z nerwów przeczesuje palcami swoje długie włosy, zrobiło mi się zdecydowanie zbyt gorąco.

Miałam ochotę powtórzyć ten gest własną dłonią i sprawdzić, czy jego ciemne pasma przyprószone już gdzieniegdzie siwizną są tak delikatne, jak się wydawały.

Przestań!, zbeształam się nagle w myślach.

Nie mogłam tak o nim myśleć. Kto jak kto, ale ten facet nie powinien budzić we mnie żadnych uczuć. To mogło się skończyć katastrofą. Ojciec by mnie zabił, i jego pewnie też. Był tak strasznie zaborczy względem mnie, co stało się jednym z powodów, dla których uparłam się, by wyjechać z Horseshoe Bay zaraz po zakończeniu dziesiątej klasy. Udało mi się. Zresztą, nie należałam do pokornych nastolatek, a moja ostatnia akcja sprawiła, że tata chętnie wysłał mnie do ciotki w Amarillo. A teraz wróciłam, i szczerze? Już żałowałam...

Zdecydowałam, że zostanę tutaj przez wakacje. Taki cel obrałam. I namówiła mnie do tego ciotka Sissy. Stwierdziła, że powrót do domu dobrze mi zrobi. Że te lata rozłąki z tatą na pewno poprawią nasze relacje.

¹ Dokładniej chodzi o uczelnię Texas Tech University School of Veterinary Medicine w Amarillo (przyp. aut.).

Trzy miesiące z ojcem. Cholera, kiedy wyjeżdżałam z Amarillo, wydawało mi się to do zrobienia. Po jednym wieczorze w domu zaczynałam w to wątpić.